



KREW
i
KSIEŻYC





KREW
i
KSIĘŻYC

ERIN BEATY

PRZEŁOŻYŁA
MARTA ZIEGLER



Tytuł oryginału: *Blood and Moonlight*

Copyright © 2022 by Erin Beaty
All rights reserved.

Jacket art © 2022 by Sasha Vinogradova
Jacket design by Veronica Mang
Author photograph by Devon Shanor Photography

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © for the translation by Marta Ziegler

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Ida Świerkocka, Renata Kuk
Skład i łamanie: Hotch Studio Paweł Czarkowski

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-304-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Abedik
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

*Piszę tę książkę dzień i noc,
By Tobie, Czytelniku, dać wrażeń moc.
Jeśli nią wzgardzisz, czy wiesz, co się stanie?
Złe wiatry zawieją jak na zawołanie.*

Natalie, która czekała na kryminał



KREW
i
KSIEŹYC





ROZDZIAŁ 1

Czekam na księżyc.

Gdy wychylam głowę, by się rozejrzeć, okiennice wszystkich innych parterowych mieszkań w sąsiedztwie są już zatrzaśnięte na noc. Lekki wiaterek zamiata opuszczoną ulicę, niosąc ze sobą zapach deszczu i odległy pomruk nadchodzącej z zachodu burzy. Miasto Collis zbudowano na ogromnym wzgórzu ponad równinami, jednak widok na nadchodzącą nawałnicę blokują mi pochylone dachy. Jeśli uniosę stopy, balansując na biodrach, i wyciągnę szyję najdalej jak potrafię, zdołam zobaczyć w prześwicie pomiędzy domami rozetę i wieże sanktuarium. Nawet bez światła księżyca jego biała fasada połyskuje na tle hebanowej okrywy nieba, a w porównaniu z nią wszystkie gwiazdy bledną.

Księżyc nadal nie jest wystarczająco wysoko.

Wzdycham i wciągam się z powrotem do środka, gdy mistrz Thomas schodzi po schodach i wkracza do pracowni. Architekt zatrzymuje się na mój widok, a jego brwi unoszą się tak wysoko, że aż znikają w kasztanowych włosach wystających spod czapki.

– Catrin? – mówi. – Myślałem, że już dawno poszłaś spać.

– Nie, mistrzu. – Sięgam po okiennice i zamykam je na zasuwę, po czym odwracam się, by stanąć twarzą w twarz z moim nachmurzonym pracodawcą.

– Mógłbym pomyśleć – mówi dalej – że jesteś ubrana do wspinaczki.

Po kolacji zamieniłam pracowniczą spódnicę do łydki na wiele krótszą, włożoną na męskie bryczesy, a ciemne loki okiełznałam, związując je i spinając.

– Tak właśnie jest – przyznaję. – Chciałam sprawdzić wygiętą belkę poprzeczną, którą zauważyłam dziś rano na południowych rusztowaniach.

Pomiędzy brwiami mistrza architekta pojawia się jeszcze głębsza zmarszczka.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej?

– Cóż... – Zaczynam wyliczać powody na palcach. – Cały poranek oprowadzałam hrabiego de Montcuira po budowie, potem sprawdzałam ustawienie systemu odwadniającego, wypisywałam zamówienia na kamień, które musi pan podpisać, poszłam na targ w poszukiwaniu świeżego rozmarynu dla pani la Fontaine i nie wystarczyło mi czasu. – Opuszczam dłonie i wzruszam ramionami. – Poza tym łatwiej mi to sprawdzić, gdy na rusztowaniach nie roi się od pracowników.

– Hm. – Architekt przygląda się mojemu paskowi. Nie przypięłam do niego niewielkiego młotka, który zwykle ze sobą noszę. – I nie ma też żadnych wędrujących dłoni do roztrzaskania. Ile ich było w tym tygodniu? – pyta surowym tonem.

Jego gniew nie jest wycelowany we mnie, więc się uśmiecham.

– Ledwie trzy, może cztery.

Gdyby tylko terminatorzy – i niektórzy starsi rzemieślnicy – trzymali ręce przy sobie, nie musieliby się martwić o swoje dłonie. Za pierwszym razem nie uderzam na tyle mocno, by połamać im palce, ale ten jeden raz zwykle wystarcza.

– W takim razie pokaż mi, co cię martwi. – Mistrz Thomas wskazuje głową makietę świątyni w Collis, która zajmuje większość miejsca w pokoju.

Makieta jest tak stara jak sama świątynia, której budowa rozpoczęła się dekady temu.

Podchodzę do drugiego końca stołu, gdzie dołącza do mnie architekt. Tak naprawdę nazwanie tego makietą nie oddaje temu modelowi

sprawiedliwości. Idealnie odwzorowano w nim każdy kamień, okno i gont – dwie prostokątne wieże przy zachodnim wejściu, długą nawę oraz ramiona wychodzące na północ i południe ołtarza znajdującego się pośrodku – choć w zasadzie środkiem będzie można to nazwać, dopiero gdy konstrukcja tego świętego budynku zostanie zakończona. Nasz projekt trwającej właśnie rozbudowy wydłuży go poza kształt litery T, który miał dotychczas. Teren budowy zaczyna się na skrzydłach nawy poprzecznej; ona również jest ukazana i uaktualniana na makiecie. Znajduje się na niej nawet rusztowanie.

– O, tutaj. – Wskazuję szkarłatną nić, którą zawiązałam, by nie zapomnieć o położeniu usterki, po czym się cofam, by mógł zerknąć.

Znajduje się w sekcji poręczy skomplikowanej jak pajęczyna, wciśniętej w cień wysokiej wieży na końcu południowej nawy poprzecznej.

Gdy mistrz Thomas nachyla się, aby lepiej przyjrzeć się zaznaczonemu miejscu, przybity do ściany pergamin trzepocze. Światło jest zbyt ciemne, bym mogła odczytać zapisane nazwiska, ale znam je wszystkie na pamięć: czternastu ojców, mężów, braci i synów, którzy stracili życie, gdy pięć lat temu zawaliły się rusztowanie i ściana. Ponad listą wisi pozłacany młotek, którego użyto do wbicia słupków wyznaczających teren budowy najnowszego projektu pobłogosławionego przez ważnych kapłanów.

Umieszczenie tych dwóch przedmiotów nie było przypadkowe: mistrz architekt nigdy nie zobaczy symbolu swojego największego osiągnięcia, nie przypominając sobie jednocześnie o największej porażce.

By zapobiec powtórce z tego wydarzenia, rusztowania muszą być bezpieczne i niezawodne jak wapienne ściany, a jedynym sposobem, by to zapewnić, jest zatrudnienie kogoś, kto regularnie się po nich wspina w poszukiwaniu wszelkich wad.

Tym kimś jestem ja. A swoją pracę traktuję bardzo poważnie.

Mistrz Thomas nadal przygląda się makiecie, palcami mierząc odległości, gdy łagodnie bicie dzwonów świątyni przedostaje się przez szpary w okiennicach. Jest już prawie północ, a o tej porze księżyc w pełni znajduje się w najwyższej pozycji, co oznacza, że jego światło

będzie dokładnie w tym miejscu, w którym musi się znaleźć, bym mogła dobrze zobaczyć. Choć nie próbowałam ukrywać swojego planu wyjścia na rusztowanie, teraz mam wrażenie, że powinnam poczekać na pozwolenie. Jednak biorąc pod uwagę nadchodzącą burzę, nie mam zbyt wiele czasu do stracenia.

– Mistrzu, zastanawiasz się czasem, dlaczego bracia zakonnicy w ogóle kładą się spać przed ostatnim poświęceniem? – pytam, głównie po to, by zwrócić jego uwagę na godzinę.

Świątobliwi mężczyźni, którzy są członkami zakonu przynależącego do świątyni, śpią pewnie tylko około dwóch godzin, zanim zostają obudzeni na nabożeństwo o północy.

– Muszą wstać o świcie na kolejną serię pieśni, więc wyobrażam sobie, że po prostu śpią, kiedy mogą – słyszę roztargnioną odpowiedź.

Mistrz przechyla głowę, by z różnych perspektyw spojrzeć na oznaczoną przeze mnie belkę. Choć dwa lata temu skończył czterdzieści lat – mógłby więc być moim ojcem – dwa siwe pasma na skroniach są jedynymi widocznymi oznakami jego wieku. Siwizna na lewej skroni pojawiła się pięć lat temu, po wypadku, z kolei tę z drugiej strony ma według gospodyni od ponad dekady. Biorąc pod uwagę tragedię, z jaką jest związane to najnowsze pasmo, nigdy nie miałam odwagi zapytać, co spowodowało pojawienie się poprzedniego.

Mistrz Thomas kręci głową.

– Rozumiem, dlaczego można byłoby nie dostrzec problemu w tamtym miejscu, ale nawet tobie będzie trudno się tam dostać.

Poręcze rusztowania są ustawione pod nietypowym kątem ze względu na rzeźbione posągi, wystające ze ścian świątyni. Gargulce stanowią część systemu odwadniającego, co czyni je niezbędnymi, jednak to zapewne konieczność ich ominięcia spowodowała problem. Miejsce, do którego muszę dotrzeć, jest naprawdę wysoko i jeszcze nie wiem, jak to zrobić, ale niemal całe siedemnaście lat życia spędziłam, wspinając się po drzewach i wdrapując na ściany budynków.

– Nie martwię się o to.

– Nigdy się nie martwisz. – Prostuje się, by na mnie spojrzeć. – Może powinienem pójść z tobą. Potrzymam latarnię.

Wątpię, że będę potrzebować jego pomocy – i światła – ale w tym momencie przerywa nam donośne walenie w drzwi kuchni. Dziwne. Kto to może być o tej godzinie? W dodatku wszedł od strony bocznej uliczki, a nie głównej drogi?

Chwilę później w drzwiach prowadzących do kuchni pojawia się pani la Fontaine. Po całym dniu pieczenia chleba i krojenia warzyw siwobiałe włosy gospodyni częściowo wydostały się z koka zawiązanego nad karkiem. Z kwaśną, pełną dezaprobaty miną wyciera spracowane dłonie o fartuch.

– Ktoś do pana, mistrzu.

Architekt zaciska szczękę i podejrzliwie mruży oczy.

– Kto to taki?

– Perrete Charpentier.

Córka jednego z czternastu budowniczych, którzy zginęli w wypadku, dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Nic dobrego nie wynika z jej wizyt, jednak architekt czuje się odpowiedzialny za śmierć jej ojca, próbował więc zadbać o to, by miała z czego żyć. Ostatnio jednak okazało się, że dziewczyna nieźle zarabia – i to robiąc dokładnie to, czemu mistrz Thomas chciał zapobiec – a jego postrzega jedynie jako źródło pieniędzy.

– Powiedz jej, by wróciła jutro – odpowiada.

Gospodyni kręci głową.

– Mówi, że jeśli z nią natychmiast nie porozmawiasz, pójdzie prosto do wysokiego kapłana.

Łatwo sobie wyobrazić, jak Perrete wyglądała, gdy odgrażała się gospodyni: dłoń położona na biodrze, wydęte szkarłatne usta, twarz pokryta różem, by uwydatnić pieprzyk na policzku. Bez wątplenia czekała, aż dzwony wybiją północ, by móc spełnić swoją groźbę i zwrócić się do wysokiego kapłana Gervese'a, wracającego ze świątyni do swojej pałacowej rezydencji po modlitwie.

– Dam sobie bez ciebie radę, mistrzu – mówię. – I tak zamierzam pójść sama.

Kręci głową, ale widzę, że jest rozdarty.

– Może z samego rana zablokujemy ten fragment rusztowania i wtedy mu się przyjrzymy.

– Mistrzu, wiesz, że to nie może czekać – odpowiadam. – Wysocki kapłan już jest sfrustrowany ostatnimi opóźnieniami spowodowanymi przez pogodę. Będzie zły, jeśli jutro wstrzymamy prace.

„Zły” to mało powiedziane. Kapłan od ponad dwóch lat próbuje zwolnić mistrza Thomasa, a nieustanna podstępna kampania, którą prowadzi z ambony, w końcu sprawiła, że część ludzi się od niego odwróciła. Z tego powodu ofiary na rzecz świątyni zmalały, spowalniając nasze prace, co zdaje się potwierdzać słowa kapłana, że czas na nowego mistrza architekta.

I właśnie dlatego cały rano spędziłam, oprowadzając burmistrza i jego synów po budowie. Całe szczęście hrabia de Montcuir był pod wrażeniem i obiecał nam okazały datek. Zabrałam go prosto do witrażownika, by naszkicował jego twarz, która stanie się inspiracją do jednego z witraży w świątyni. Nic nie otwiera kiesy szerzej niż publiczny dowód hojności.

Mistrz architekt przez kilka sekund rozważa mój argument. W końcu wzdycha.

– W porządku. Porozmawiam z nią na osobności, pani la Fontaine. Proszę ją wpuścić.

Z ulgą otwieram drzwi na ulicę.

– Wróć przed deszczem.

– Catrin! – woła za mną architekt. – O czymś zapominasz.

Tłumię w sobie jęk i zatrzymuję się w drzwiach.

– Mistrzu Thomasie, przecież nigdy nie spadłam.

– Aż do ostatniego lata w dzwonnicy nigdy nie uderzył piorun – mówi stanowczo. Wieża przy fasadzie zachodniej, o kilka stóp krótsza od trzech pozostałych, została uszkodzona przez silne uderzenie. – „Nigdy” oznacza po prostu „jeszcze nie”.

Z ciężkim westchnieniem zdejmuję zwiniętą linę bezpieczeństwa z haka zawieszzonego przy drzwiach, obok płaszcza mistrza. Już mam wychodzić, jednak zauważam srogie spojrzenie architekta i zatrzymuję się, by zawiązać jeden koniec wokół talii.

– Lepiej?

Jego usta wykrzywiają się sceptycznie.

– A użyjesz jej?

– Tak, mistrzu – zapewniam go, chociaż będzie mi ona raczej przeszkadzać.

– Uważaj na siebie – mówi, machnięciem dłoni dając mi do zrozumienia, żebym już szła. – Matka Agnes udusiłaby mnie gołymi rękami, gdyby coś ci się stało.

Uśmiecham się szeroko i przerzucam sobie linę przez ramię. Choć przeorysza opactwa Solis właśnie świętowała siedemdziesiąte urodziny, nie jestem przekonana, że przeżyłaby to starcie.

Perrete przemyka do pracowni z kokieteryjnym jednostronnym uśmiechem, który ukrywa zgniłą szparę między zębami. Owiewa mnie woń jej perfum, przez co krzywię się, zamykając drzwi. Po jej ostatniej wizycie cały dzień wietrzyliśmy pracownię, by pozbyć się tego zapachu.

Z ulicy widzę wystarczająco duży skrawek nieba, aby się upewnić, że będę miała czas na inspekcję, muszę się jednak pospieszyć. Odwracam się i truchtam w stronę świątyni, niesiona przez wiatr.



ROZDZIAŁ 2

Problem z szokującą łatwością można dojrzeć przy świetle księżyca. Jest coś w sposobie, w jaki cienie tańczą na prostych liniach i zakrzywieniach poręczy opartych o nową kamienną strukturę. Zupełnie jakby to ciemność zapewniła wadę, że nikt nie patrzy, i tym samym nakłoniła ją, by ta się ujawniła – ale oczywiście wiem, że to bzdura.

Jednak przyjrzenie się jej z dołu nie wystarczy. Muszę zerknąć z bliska, jeśli usterka ma wstrzymać jutrzejsze prace.

W pobliżu nie ma niczego, co by mnie utrzymało, poza kamiennym gargulcem wystającym na trzy stopy ze ściany świątyni. Tę postać przypominającą psa zaprojektowano tak, by wypływała z pyska, z dala od budynku, deszczówkę płynącą rurami. Jak większość rzeźb ma wyglądać groźnie, jednak okrągły otwór między jej zębami sprawia, że wygląda na zaskoczoną, co jest całkiem zabawne. Wiatr owiewający pysk powoduje pischczenie przywodzące na myśl gospodynię, która właśnie zauważyła mysz, co tylko dodaje komicznego efektu. Rusztowanie obudowuje gargulca, więc stojąc na jego plecach, jestem zmuszona wyciągnąć się do przodu, by sięgnąć wypaczonego słupa. Moje palce natychmiast znajdują pęknięcie w drewnie, którego nie dostrzegłabym ani z góry, ani z dołu.

Wielkie nieba, jest ogromne. Cud, że jeszcze nic się nie stało. W dzień na rusztowaniu wspieranym przez te słupy tłoczą się dziesiątki

robotników. Niewielu z nich przeżyłoby upadek z wysokości sześciu pięter prosto na kamienie w różnych stadiach cięcia i kształtowania.

Ustawiam się pod kątem, by wyczuć dłonią długość szczeliny. Jest niemal tak szeroka jak moje przedramię, co oznacza, że nie uda się wzmocnić poręczy liną – a maleńkie świeże drzazgi, które czuję pod palcami, wskazują na to, że wada szybko się powiększa. Chociaż spowoduje to sporo problemów, czuję ulgę, że odpowiedź jest tak jasna: trzeba będzie zdemontować całe rusztowanie w tym miejscu i złożyć je ponownie.

Stracimy przez to dwa dni pracy. Kolejny powód do narzekań wysokiego kapłana.

Ostra drzazga kłuje mnie w środkowy palec, więc odruchowo cofam dłoń. Przykładam do ust paznokiec, pod którym gromadzi się krew. Miedziany smak uderza mój język z zadziwiającą intensywnością, jednak krwawienie jest dość słabe. Po kilku sekundach unoszę zranioną dłoń do księżycy, by sprawdzić, czy na palcu nie zostały jakieś fragmenty drzazgi. Całe szczęście jest czyste.

Moje ramię, nadal wyciągnięte i oparte o belkę, zaczyna się trząść od ciężaru ciała, które podtrzymuje. Zanim udaje mi się podeprzeć drugą ręką, silny podmuch sprawia, że gargulec zaczyna pisać wyżej i głośniej, a przenikliwy dźwięk uderza mnie niczym błyskawica, posyłając nieprzyjemną falę w dół kręgosłupa i przez kończyny. Wszystkie mięśnie ciała ściskają się, a ja rozluźniam niepewny chwyt na słupie.

Nagle zaczynam spadać głową w dół w stronę leżących na ziemi kamieni, koziołkuję i przekręcam się w powietrzu, a przed moimi oczami przemykają niebo, rusztowanie i świątynia. Na ścianie przede mną rozbryzguje się krwawy łuk i w tym momencie myślę – wiem – że umrę.

Nigdy nie pomyślałabym, że to się tak skończy.

Wzrok w kącikach moich oczu się rozmazuje, wyginam plecy w łuk i chwytam się za gardło w desperackiej próbie powstrzymania krwawienia. Druga dłoń równie daremnie zaczyna drapać ścianę, aż w końcu rozrywa mnie uderzenie w brzuch.

Ból to jedyne, co zostało w moim świecie. Mogę tylko czekać, aż odpłynie ostatnia kropla świadomości.

Ale tak się nie dzieje.

Otoczenie powoli ponownie się wyostrza. Mija kilka sekund, zanim dociera do mnie, że nie leżę martwa na ziemi, a zwisam jakieś trzydzieści stóp ponad nią, z liną bezpieczeństwa zawiązaną boleśnie mocno wokół talii. Oszołomiona, podnoszę wzrok, by spojrzeć na gargulca, w miejscu, gdzie jest widoczne zagięcie liny, którą zawiązałam – i to dość niechętnie – po drugiej stronie rusztowania. Rzeźba gwizdała, jakby nic się nie zmieniło. Czy ten przeraźliwy wrzask wydobył się z jej pyska? Brzmiał bowiem... ludzko. Jak przerażony człowiek lub ktoś, kto zaraz umrze – a może jedno i drugie. Gdybym nie była absolutnie pewna, że hałas rozległ się, zanim spadłam, pomyślałabym, że to ja krzyczałam.

Na ścianie obok mnie nie ma krwi, a gdy podnoszę roztrzęsione dłonie do księżycy, widzę, że one również są czyste.

Ale widziałam krew. Czułam ją.

Byłam o krok od śmierci. I nie jestem przekonana, że nie umarłam.

Ktoś martwy nie byłby jednak tak obolały. Stękając, układałam się tak, by oprzeć stopy o kamienną ścianę. Moje skórzane buty zostały uszyte specjalnie z myślą o wspinaczce i nawet z roztrzęsionymi dłońmi i siniakami tworzącymi się w okolicy talii z łatwością udaje mi się wejść z powrotem na górę. Najtrudniejsze okazuje się wciągnięcie na gargulca, tak bym mogła na nim stanąć i zeskoczyć na trzcinową platformę.

Gdy tylko się upewniam, że jestem bezpieczna, opadam na gładki wapień świątyni, obiecując sobie, że już nigdy nie będę narzekać na linę bezpieczeństwa. Kiedy zwijam ją w luźny zwój, zauważam, że moje paznokcie i czubki palców nie zostały zniszczone przez drapanie nimi o ścianę. Poza raną po drzazdze, która zmieniła się w idealnie okrągły siniec, dłonie wyglądają na nietknięte. Kręcąc głową, odwiązuję linę z obolałej talii i wyglądam na domy i sklepy otaczające wybrukowany teren przy sanktuarium. Większość widoku zasłaniają mi dachy trzy- i czteropiętrowych budynków. Wokół panuje cisza, ale w głowie nadal słyszę tamten krzyk.

Czy pochodził stamtąd?

Zarzucam linę na ramię, wstaję i zaczynam wspinać się na szczyt sanktuarium po rusztowaniu, tylko w połowie drogi korzystając z drabiny. Najwyższa część rusztowania jest zrównana z główną rynną biegnącą wzdłuż krawędzi nowego fragmentu dachu, a wiatr popycha mnie przez całą długość rozbudowywanej części aż na wschodni koniec, gdzie lwia sylwetka chimery dogląda swoich włości.

– Dobry wieczór, Pierre – mówię, rzucając zwiniętą linę za rzeźbę.

W przeciwieństwie do gargulców chimery pełnią jedynie funkcję dekoracyjną. Każdą z nich nazywam, gdy przez kilka tygodni obserwuję, jak mistrz rzeźbiarski nadaje im formę – jak na razie to Pierre jest moim ulubieńcem. Jego pysk przypomina nietoperza z zadartym noskiem, ma też długie kły, które zakrzywiają się wokół jego paszczy otwartej i gotowej do ryku. Klepię jedno ze skrzydeł rozciągających się pionowo z umięśnionego grzbietu i kontynuuję rozmowę, mimo że nie jestem na tyle niemądra, by spodziewać się odpowiedzi.

– Widziałeś lub słyszałeś tu dziś coś dziwnego?

Z tego miejsca widzę całe wzgórze, na którym wybudowano Collis, oraz rozciągające się poza nim wsie. Mój dom z czasów dzieciństwa, opactwo Solis, leży niemal u podnóża południowego zbocza. Za nim stoją pokryte bluszczem ściany Kwatery Seleńskiej, będącej domem samotnicznej sekty religijnej, której członkowie trzymają się godzin księżycy, a nie błogosławionego słońca. Z otwartego placu pośrodku tej okolicy bije blask zbyt nieruchomy, by pochodził z ogniska. Nawet z tej odległości niepokojące melodie ich wyśpiewywanych o północy hymnów docierają do moich uszu.

Nie licząc dzielnicy Seleńczyków, z miasta zniknęli nocni hulacy, prawdopodobnie spodziewając się burzy. Wokoło panuje głucha cisza, przerywana jedynie szybkim rytmem kroków, odbijającym się od ścian i chodników. Nachylam się, by wyjrzeć na miasto, a wyciągnięte ramię Pierre'a wydaje się niemal wskazywać na samotną postać na dole. Odziany w płaszcz człowiek – z całą pewnością mężczyzna – porusza

się zbyt szybko i zbyt zdecydowanie, by być pijaczną zataczającym się w drodze powrotnej z karczmy. Sądząc po kierunku, z którego nadchodzi, wyszedł właśnie od madame Emeline lub z innego podobnego przybytku, jednak ja mam wrażenie, jakby niemal przed czymś uciekał.

Nagle ocieniona postać wbiega w boczną uliczkę i znika mi z pola widzenia. Przez ciszę przedziera się upiorny głos:

Niech ktoś mi pomoże. Błagam.

Słowa trzepoczą w mojej głowie, lekkie niczym blask księżycy, mają w sobie jednak udrękę tak ciężką, że zapierają mi dech w piersi. To, co matka Agnes zawsze nazywała moją narowistą wyobraźnią, łączy głos i ukryty w nim ból z uciekającym mężczyzną. Być może kogoś obrabował, zostawił rannego i zapłakanego na ulicy. Czy nocni strażnicy miasta znajdą tego kogoś, zanim nadejdzie burza, czy jestem jedyną osobą, która może mu pomóc? Jak w ogóle zacząć poszukiwania?

– Idź do domu, mały kotku.

Odwracam się gwałtownie z walącym sercem i przyciskam plecy do rzeźby. Te słowa na pewno usłyszałam. Skoro dotarł do mnie tak cichy głos, musiał należeć do kogoś, kto stał w pobliżu, a może nawet tuż za mną, ale dookoła jest tylko pustka. Szeroko otwartymi oczami przeszukuję pobliski portyk, dach i rusztowanie, nadal nie będąc w stanie odnaleźć źródła zachrypniętego szeptu, który nie milknie:

– To kiepska noc na wycieczki.

Zabrzmiało to bardziej jak ostrzeżenie niż groźba, a biorąc pod uwagę pogodę i dziwnego mężczyznę biegającego po ulicy, jestem zmuszona zgodzić się z tym fantomowym głosem. Aż w końcu znów słyszę niemy płacz:

Błagam. Ktokolwiek.

Nagle pędzę tą samą drogą, którą przysłałam, schodzę po słupkach i zeskakuję po wiklinowo-trzciniowych platformach, popychana przymusem, którego nie umiem wyjaśnić. Kiedy docieram na ziemię, puszczam się biegiem w kierunku, z którego nadchodził mężczyzna w płaszczu. Gdzieś z tyłu głowy kołacze mi myśl, że robienie tego w pojedynkę jest głupotą. Ale choć Perrete na pewno już sobie poszła,

mistrz Thomas nie zgodziłby się kręcić po ulicach o tej porze, zwłaszcza z tak niejasnego powodu.

Skrećam w ulicę łączącą plac sanktuarium z wiekową Świątynią Słońca, reliktem Imperium Hadriańskiego, podczas którego powstała nasza wiara. Choć oficjalną nazwą ulicy jest Ścieżka Modlitwy, częściej mówi się na nią Droga Rozkoszy, ze względu na dużą liczbę działających tu burdeli. Wiele tutejszych sierot i znajd wychowuje się w zakonie, ale te dziewczyny, które odmówią przyjęcia ślubów Sióstr Światła, niestety często mają problemy ze znalezieniem zatrudnienia o dobrej reputacji. Wiele z nich kończy właśnie tutaj.

Dyszac, mijam czwarty rząd domów szeregowych, a nagła napaść na moje zmysły zmusza mnie do zatrzymania i rozejrzenia się wokół. Jasny blask księżycy tworzy ostre, kanciaste cienie, które przecinają otoczenie, dzieląc je na postrzępione fragmenty, ale to wiszący w powietrzu słodki metaliczny zapach przyprawia mnie o dreszcze. Ostatni raz tak wyraźnie czułam go, gdy mijalam sklep rzeźnika, który akurat zarzywał tuczniaka na schodach wejściowych.

Krew. Całe mnóstwo krwi.

Ale ja nic nie widzę.

Przenikliwie zimny podmuch wiatru sprawia, że kilka zaschniętych liści muska moje kostki, co przyciąga wzrok do wielkiego, błotnisteo odcisku buta. Widzę ich jeszcze parę, biegnących w kierunku sanktuarium. Nikną kawałek dalej, ale zauważam też, że wychodzą z ciemnej uliczki po prawej. Przemykam pod markizę stojącego obok niej budynku i wyglądam ostrożnie za róg.

– Halo?! – wołam cicho.

Żadnej odpowiedzi. Ukośny promień oślepiającego światła księżycy pada na ścianę na drugim końcu drogi. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek tutaj była, jednak jakieś dziwne uczucie powoduje, że to miejsce wydaje się znajome i przyciąga mnie do ocienionego wylotu uliczki.

Ciemność zamyka się wokół mnie niczym kurtyna. Zapach krwi staje się przytłaczający, przysłaniam więc usta i nos jedną ręką, a drugą

wyciągam w stronę mroku. Robię niepewny krok w kierunku światła, potem drugi, palcami u stóp odsuwając coś, co – mam nadzieję – jest śmieciem. Kiedy docieram do oświetlonej ściany, widzę szkarłatny łuk rozbryzgany na wysokości oczu, upiornie podobny do tego, co dostrzegłam, gdy spadałam z grzbietu gargulca.

To niemożliwe. A jednak przypominam sobie teraz, że nie widziałam wtedy nieskazitelnie czystej i gładkiej wapiennej ściany sanktuarium, lecz coś chropowatego i brudnego. Jak znajdujący się przede mną szachulec.

W jednym miejscu wzór wyglądał inaczej. Na samym środku ściany po mokrej plamie rozsmarowany był jakiś ślad, jakby przeciągnięto przez nią rozcapierzoną dłoń. Opuszki palców mojej lewej dłoni bołą, jakby to było ich dzieło, a ja, zahipnotyzowana, wyciągam rękę – muszę wiedzieć, czy w dotyku ściana jest taka sama jak w mojej pamięci.

Gdy dzieli mnie od niej zaledwie kilka cali, nagle cała uliczka rozświetla się blaskiem tysiąca świec. Wszystko wokół mnie staje się widoczne – ściany, skrzynie, beczki, z których wylewają się odpady, przemykające obok szczury... i sylwetka leżącej na ziemi kobiety.

Jest ułożona na plecach, stopami w moją stronę. Ma blade łydki, a spod wymiętej spódnicy wystają buty na drewnianym obcasie. Wokół jej głowy i ramion formuje się kałuża krwi tak duża, że ubita ziemia nie zdołała jej wchłonąć, pozostawiając płynną powierzchnię, w której odbijają się gwiazdy i szybujące chmury. Brzuch kobiety zmienił się w płataninę rozdartego materiału i organów wewnętrznych, które dotąd widziałam jedynie u zarżniętych zwierząt.

To wszystko jest okropne, ale nie najgorsze.

Szczęka kobiety zawisła w niemym krzyku, połowa zębów została wybita lub połamana. Jej zmiądzona twarz zapadła się do wewnątrz, podobnie jak oczy, tworząc papraninę zdruzgotanej tkanki. Ze zmiądzonych oczodołów płynie strumień krwi, niczym łza mijająca pieprzyk na jej policzku.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk i biorę tak głęboki wdech, że rozpoznaję kwiatowe perfumy, których woń ukrywał zapach krwi. Jednak już wcześniej wiedziałam, kim ona jest.

To Perrete.